

STEPHEN KING

GRA GERALDA



1

W szumie październikowego wiatru Jessie słyszała od czasu do czasu lekki stukot nie domkniętych drzwi na tyłach domu. Jesienią framugi pęczniały od wilgoci i drzwi trzeba było zatrząskiwać. Tym razem o nich zapomnieli. Zastanawiała się, czy nie poprosić Geralda, żeby poszedł i je zamknął, nim złączą na dobre, bo inaczej zwariuje od tego stukotu. Zaraz jednak pomyślała, że w tej sytuacji zabrzmiałoby to wyjątkowo śmiesznie. Zepsułaby zupełnie nastrój.

Jaki nastrój?

Dobre pytanie. I chwilę potem, gdy Gerald przekręcił kluczyk w drugim zamku i usłyszała nad lewym uchem cichy szczełk, zdała sobie sprawę, że wcale nie zależy jej na podtrzymywaniu nastroju. Oczywiście to właśnie dlatego w ogóle zauważyła, że drzwi są nie domknięte. Gry erotyczne z kajdankami już dawno przestały ją podniecać.

Jednakże nie można było tego powiedzieć o Geraldzie. Miał na sobie tylko szorty i Jessie nie potrzebowała unosić wzroku na jego twarz, by widzieć, iż owa gra cieszy się jego nie słabnącym zainteresowaniem.

Kompletny idiotyzm – pomyślała, choć czuła, że to jeszcze nie wszystko. Była także trochę przerażona. Nie miała ochoty się do tego przyznać, lecz musiała.

– Dajmy dziś spokój, dobrze?

Zawahał się na moment, marszcząc lekko brwi, a następnie przeszedł przez pokój do komody po lewej stronie drzwi do ła-

zienki. Po drodze się rozchmurzył. Obserwowała go, leżąc na łóżku z rozpostartymi, uniesionymi ramionami; przywodziła na myśl piękną Fay Wray, skrępowaną i czekającą na King Konga. Gerald przykuł ją dwiema parami kajdanek do mahoniowych słupków po obu stronach zagłówek. Łańcuszki kajdanek miały długość około piętnastu centymetrów. Niewiele.

Gerald położył kluczyki na blacie komody – dwa leciutkie stuknięcia; słuch Jessie był wyjątkowo wyostrzony jak na środowe popołudnie – i odwrócił się z powrotem ku żonie. Wysoko nad jej głową na białym suficie sypialni kołysały się i tańczyły refleksy słońca w tafli jeziora.

– Co ty na to? Jakby przestało mnie to już bawić. (*A zresztą nigdy szczególnie nie bawiło – dodała w duchu.*)

Uśmiechnął się szeroko. Miał nalaną różową twarz i kruczoczarne włosy z głębokimi zakolami, a ten specyficzny uśmiech zawsze wywoływał w Jessie coś, co niezbyt jej się podobało. Nie potrafiłaby określić, co to właściwie takiego, ale...

Oczywiście, że potrafisz. Wygląda jak idiota. Przecież widzisz: im bardziej szczyrzy zęby, tym jest głupszy, a każdy centymetr uśmiechu to spadek ilorazu inteligencji o dziesięć punktów. Kiedy twój genialny mąż, błyskotliwy prawnik pracujący w renomowanej kancelarii adwokackiej, uśmiecha się najszerszej, jak umie, przypomina debila zatrudnionego jako szatniarz.

Spostrzeżenie okrutne, ale niedalekie od prawdy. Dobrze – tylko jak powiedzieć własnemu mężowi, prawie po dwudziestu latach małżeństwa, że jeśli szczyrzy zęby za szeroko, wygląda, jakby cierpiał na lekki kretynizm?! Odpowiedź jest prosta: nic się nie mówi. Jego normalny uśmiech, z zaciśniętymi wargami, to zupełnie inna sprawa – śliczny, ciepły i poczciwy; Jessie przypuszczała, że to właśnie on skłonił ją kiedyś do tego, by w ogóle zacząć chodzić z Geraldem. Kojarzył się z uśmiechem jej ojca, gdy przed kolacją, popijając dżin z tonikiem, opowiadał rodzinie śmieszne historyjki o swojej pracy.

Ale nie tym razem. Teraz Gerald bezwstydnie szczyrzył zęby w sposób, który najwyraźniej rezerwował na takie okazje. Pewnie mu się wydaje, że uśmiecha się jak dzika bestia, a może pirat. Jednakże dla Jessie, leżącej z wykręconymi do tyłu ramionami i ubranej wyłącznie w skąpe majteczki, był to grymas zwykłego

idioty. Nie... upośledzonego umysłowo. Ale przecież Gerald nie miał w sobie nic z lekkomyślnego donzuana z jednego z magazynów pornograficznych, nad którymi onanizował się jako samotny, grubawy niedorostek; był adwokatem z tęgą, różową twarzą i zakolami, które wciąż posuwały się do tyłu – nieubłagana zapowiedź całkowitego wyłysienia... Po prostu prawnikiem z przednią częścią szortów wybrzuszącą się pod naporem czegoś twardego. Wybrzuszącą się zresztą dość lekko.

Wielkość jego erekcji nie była jednak najważniejsza. Najważniejsze, że szczerzył zęby. Wyraz jego twarzy nie zmienił się ani na jotę, co znaczyło, iż nie wziął jej słów poważnie. To jasne, że powinna była protestować; w końcu na tym właśnie polegała gra.

– Geraldzie? Ja naprawdę nie żartuję.

Rozdziawił usta jeszcze szerzej. Ukazały się kolejne drobne ząbki rekina palestry, ząbki całkowicie niegroźne; jego iloraz inteligencji znów spadł o dwadzieścia albo trzydzieści punktów. I ciągle nic do niego nie docierało.

Jesteś pewna?

Była. Nie potrafiła jeszcze czytać w nim jak w książce – podejrzewała, że aby dojść do tego stanu, potrzeba znacznie więcej niż siedemnastu lat małżeństwa – ale zwykle miała niezłe pojęcie o tym, co się dzieje w jego głowie. Gdyby okazało się inaczej, bardzo by ją to zdziwiło.

Skoro to prawda, dziewczyno, to dlaczego on ciebie nie rozumie? Jak może nie widzieć, że nie jest to po prostu nowa scenka w starej farsie erotycznej?

Jessie zmarszczyła lekko brwi. W jej głowie zawsze rozlegały się głosy – domyślała się, że wszyscy słyszą coś takiego, choć zazwyczaj o tym nie mówią, podobnie jak o czynnościach wydalniczych – a większość z nich wydawała się starymi znajomymi, bezpiecznymi niczym ranne pantofle. Ten jednak był nowy – i nie miał w sobie nic bezpiecznego. Był mocny; brzmiała w nim młodość i energia. A także niecierpliwość. Znów się odezwał, odpowiadając na własne pytanie:

Nie chodzi o to, że cię nie rozumie; rzecz w tym, dziewczyno, że czasami po prostu nie chce rozumieć.

– Geraldzie, doprawdy, nie mam dziś ochoty. Przynies z powrotem kluczyki i uwolnij mnie. Zrobimy to inaczej. Wejdę na

ciebie, dobrze? Albo możesz leżeć spokojnie z rękami pod głową, a ja się wszystkim zajmę, no wiesz.

Na pewno chcesz to zrobić? – spytał nowy głos. – *Czy jesteś zupełnie pewna, że chcesz się kochać z tym mężczyzną?*

Jessie zamknęła oczy, jakby mogła w ten sposób uciszyć ten głos. Gdy znów je otworzyła, Gerald stał u stóp łóżka, a przednia część jego szortów przypominała sterczący bukszpryt jachtu pełnomorskiego. No, może raczej dziób plastikowej łódeczki puszczanej przez dziecko na stawie. Rozdziawił usta jeszcze szerzej, aż ukazały się zęby trzonowe, te ze złotymi plombami. Jessie zdała sobie sprawę, że ten kretyński uśmiech nie budzi w niej zwykłej niechęci, tylko pogardę.

– Uwolnię cię... jak będziesz bardzo, ale to bardzo grzeczna. Potrafisz być bardzo, ale to bardzo grzeczna, Jessie?

Tandeta – zauważył kolejny rzeczowy głos. – *Tandeta do kwadratu.*

Gerald wetknął kciuki za gumkę szortów, tak że wyglądał przez chwilę jak absurdalna karykatura rewolwerowca. Gacie zjechały w dół bardzo szybko, gdy już się przecisnęły poza tłusciutkie pośladki.

I – *voilà*, wszystko na wierzchu! Nie była to przerażająca machina erotyczna, z którą Jessie zetknęła się po raz pierwszy jako nastolatka na kartach *Fanny Hill*, lecz coś potulnego, różowiutkiego i obrzezanego – całkiem zwyczajny kutasik, mający niewiele więcej niż dziesięć centymetrów długości. Dwa albo trzy lata temu, w czasie jednego z rzadkich wypadów do Bostonu, Jessie widziała film pod tytułem *Brzuch architekta. W porządku* – pomyślała – *teraz oglądam „Penis adwokata”*. Musiała przygryźć wewnętrzną stronę policzków, żeby nie parsknąć śmiechem. Nie byłoby to w tym momencie rozropne.

I wówczas przysła jej do głowy pewna myśl, która odebrała jej jakąkolwiek ochotę do śmiechu. Przecież to proste! Gerald nie wiedział, że ona mówi poważnie, bo Jessie Burlingame, jego żona, siostra Maddy i Willa, córka Toma i Sally Mahoutów, bezdzienna, tak naprawdę w ogóle dlań nie istniała.

Wraz z cichym metalicznym szczęknięciem kluczyków w zamkach kajdanek Jessie zniknęła. Magazyny przygodowe z okresu dojrzewania zostały zastąpione przez stos czasopism pornograficznych

w dolnej szufladzie biurka, czasopism, w których kobiety ubrane tylko w sznury pereł klęczały na niedźwiedzych skórkach, a od tyłu brali je mężczyźni o tak potężnych narządach seksualnych, że te należące do Geralda wydawały się przy nich wręcz mikroskopijne. Na wewnętrznych stronach okładek owych czasopism, oprócz ogłoszeń podających telefony, pod którymi można porozmawiać na świńskie tematy, znajdowały się także reklamy nadymanych partnerek o szczegółach anatomicznych rzekomo zgodnych z rzeczywistością – koncept, który budził w Jessie szczególne zdziwienie. Wyobraziła sobie te napompowywane lale z różową skórą, komiksowymi ciałami bez zmarszczek i pustymi twarzami, i doznała czegoś w rodzaju zdumionego olśnienia. Nie był to horror – niezupełnie – w głowie Jessie błysnęło światło, a pejzaż, który wydobyło z mroku, wydawał się na pewno bardziej przerażający niż ta kretyńska gra czy to, że tym razem zajmują się nią w domku letniskowym nad jeziorem długo po odejściu lata.

Wszystkie te myśli nie przytępiły w najmniejszym stopniu słuchu Jessie. Tym razem usłyszała piłą łańcuchową warczącą gdzieś daleko w lesie – może nawet w odległości siedmiu, ośmiu kilometrów. Blżej, na jeziorze Kashwakamak, nur ociągający się z corocznym odlotem na południe wzniosł swój obłąkańczy krzyk ku błękitnemu październikowemu niebu. Jeszcze bliżej, na północnym brzegu, zaszczekał pies. Było to brzydkie, zgrzytliwe szczekanie, lecz wydało się Jessie dziwnie uspokajające. Oznaczało, że nie są tu zupełnie sami, nawet w połowie października. Poza tym słychać było tylko drzwi: stukające o framugę, obluźowane niczym stary ząb w dziąśle przeżartym przez skorbut. Jessie czuła, że gdyby musiała słuchać ich przez dłuższy czas, postradałaby zmysły.

Gerald, nagi z wyjątkiem okularów na nosie, uklęknął na łóżku i zaczął się czołgać w jej stronę. Jego oczy wciąż błyszczały.

Przyszło jej do głowy, że to właśnie ten błysk kazał jej dalej uczestniczyć w grze, długo po zaspokojeniu początkowej ciekawości. Minęło wiele lat, odkąd Gerald spoglądał na nią takim gorączkowym wzrokiem. Nie była brzydka – nie przytyła i miała ciągle niezłą figurę – lecz i tak coraz mniej się nią interesował. Uważała, iż częściowo winny jest alkohol – pił teraz znacznie więcej niż wtedy, gdy się pobrali – ale wiedziała, że to nie wszystko.

„Zażyłość jest matką pogardy”, tak to chyba brzmi, prawda? Rzekomo nie dotyczy to zakochanych, przynajmniej wedle poetów romantycznych czytanych na kursie literatury angielskiej, ale po ukończeniu studiów Jessie odkryła, że istnieją pewne sfery życia, o których John Keats i Percy Shelley nie napisali nigdy ani słowa. Poza tym obaj zmarli oczywiście w znacznie młodszym wieku niż ten, jaki osiągnęli państwo Burlingame.

Tu i teraz nie miało to zresztą większego znaczenia. Ważne było może to, że Jessie uczestniczyła w grze dłużej, niż naprawdę chciała, bo podobał jej się ten gorący błysk w oczach Geralda. Czowała się dzięki niemu młoda, ładna i kusząca. Ale...

...ale jeśli myślałaś, że patrzy w ten sposób właśnie na ciebie, to się pomyliłaś, dziewczyno. A może oszukiwałaś siebie samą? I może powinnaś wreszcie zdecydować – zdecydować raz na zawsze – czy chcesz dalej znosić to upokorzenie. Bo czy nie czujesz się upokorzona?

Jessie westchnęła. Owszem. Trochę tak.

– Geraldzie, ja naprawdę mówię poważnie.

Podniosła głos i po raz pierwszy błysk w jego oczach przygasł lekko. Dobrze. Słyszał, co się do niego mówi, przynajmniej z pozoru. Więc może wszystko jest jeszcze w porządku. Nie wspaniale, bo od chwili gdy można było utrzymywać, że jest wspaniale, minęło dużo czasu, ale – w porządku. Nagle błysk znów się pojawił, a zaraz potem ukazał się ten sam kretyński uśmiech.

– Dam ci nauczkę, krnąbrna pięknotko! – powiedział Gerald. Naprawdę to powiedział, wymawiając słowo „pięknotko” tonem dziedzica z tandetnego wiktoriańskiego melodramatu.

Więc niech to zrobi. Po prostu niech to zrobi i będzie po wszystkim.

Z tym akurat głosem była znacznie bardziej oswojona, zamierzała więc posłuchać jego rady. Nie wiedziała, czy Gloria Steinem zaaprobowalaby takie postępowanie i miała to w nosie; rada wydawała się atrakcyjna dzięki swojej absolutnej praktyczności. Niech to zrobi, a jak zrobi, to zrobi. *Quod erat demonstrandum.*

Nagle dłoń Geralda – pulchna dłoń o krótkich palcach, równie różowa jak fałda na czubku jego kutasika – wysunęła się do przodu i chwyciła ją za pierś, aż w Jessie coś pękło niczym zanadto naprężone ścięgno. Gwałtownie szarpnęła biodrami i tułowiem, strząsając tę rękę.

– Daj spokój, Geraldzie! Otwórz te kretyńskie kajdanki i uwolnij mnie. Przestało mnie to bawić już w marcu, gdy jeszcze leżał śnieg. Nie jestem podniecona; czuję się śmieszna.

Tym razem na pewno usłyszał. Przekonało ją o tym to, że błysk w jego oczach natychmiast zgasł, niczym płomyk świecy zdmuchnięty przez wiatr. Domyśliła się, że w końcu dotarły do niego dwa słowa: „kretyński” i „śmieszny”. Był otyłym wyrostkiem w grubych okularach, który pierwszy raz w życiu umówił się na randkę w wieku osiemnastu lat – rok po przejściu na ścisłą dietę i rozpoczęciu ćwiczeń gimnastycznych w celu zrzucenia nieapetycznych zwałów sadła. Gdzieś na drugim roku studiów Gerald uznał swoje życie za „mniej więcej opanowane” (jakby życie – a przynajmniej jego życie – było wierzgającym koniem, którego należy ujeździć), ale Jessie wiedziała, że koszmarne lata spędzone w gimnazjum pozostawiły w nim pokłady głębokiej pogardy dla samego siebie i podejrzliwości względem innych.

Sukces w roli adwokata (i małżeństwo z nią; ono także odegrało swoją rolę, może nawet decydującą) jeszcze bardziej przywróciły mu wiarę i szacunek do samego siebie, lecz Jessie przypuszczała, iż niektóre koszmary nigdy nie zniknęły. Gdzieś w podświadomości Geralda starsi chłopcy ciągle nabijali się z niego w czytelnym internatu, kpiąc, że potrafi się tylko onanizować na myśl o dziewczętach, a niektóre słowa – na przykład „kretyński” i „śmieszny” – przypominały mu okres pobytu w gimnazjum, jakby to było wczoraj... Tak przynajmniej podejrzewała. Psycholodzy bywają często niewiarygodnymi, wprost celowymi głupcami, jednakże mają absolutną rację, podkreślając straszliwą trwałość pewnych wspomnień. Żerują one na umyśle człowieka niczym ohydne pijawki, a właściwe słowa – na przykład „kretyński” i „śmieszny” – są w stanie momentalnie je ożywić, zmienić w wijącą się gorączkowo masę robactwa.

Jessie czekała na ukłucie wstydu, że zadała Geraldowi cios poniżej pasa, i poczuła zadowolenie – a może po prostu ulgę – gdy ukłucie się pojawiło. *Chyba mam już dość tej komedii* – pomyślała i zaraz przyszła jej do głowy następna refleksja: może ona też ma własne preferencje erotyczne, a skoro tak, to gra z kajdankami na pewno do nich nie należy. Czuła się poniżona. Poniżyła ją cała ta sytuacja. Owszem, kilku pierwszym próbom – z jedwabnymi

chustkami – towarzyszyło pewne zażenowane podniecenie i ze dwa razy miała więcej niż jeden orgazm, co zdarzało jej się wyjątkowo rzadko. Tak czy owak, istniały przykre efekty uboczne i nie kończyło się wyłącznie na upokorzeniu. Po każdej z owych wczesnych odmian gry Geralda dręczyły ją koszmary. Budziła się z krzykiem, zlaną potem, z mocno zaciśniętymi pięściami wepchniętymi głęboko między nogi. Pamiętała jeden taki sen, choć wspomnienie było odległe, zamazane: grała nago w krokieta i raptem zgasło Słońce.

Nieważne, Jessie, to może poczekać do jutra. Teraz musisz go przekonać, by cię uwolnił.

Tak. Bo nie była to ich gra, lecz wyłącznie jego gra. Uczestniczyła w niej tylko dlatego, że jemu na tym zależało. A to nie przemawiało już do Jessie.

Nad jeziorem znów zabrzmiał samotny krzyk nura. Kretyński, wyczekujący uśmiech Geralda ustąpił miejsca wyrazowi ponurego niezadowolenia. *Zepsulaś mi zabawkę, dziwko!* – mówiła jego mina.

Jessie przyłapała się na tym, że wspomina ostatni raz, gdy miała okazję dobrze się przyjrzeć temu wyrazowi na jego twarzy. W sierpniu Gerald przyniósł skądś broszurkę na kredowym papierze i pokazał, co sobie wymarzył, a ona powiedziała, że owszem, skoro chce kupić porsche, to naturalnie nic nie stoi na przeszkodzie, z pewnością stać ich przecież na porsche, jednakże ona uważa, że powinien raczej opłacić ubezpieczenie zdrowotne w Forest Avenue Health Club, co i tak planuje zrobić już od dwóch lat.

– Nie pasujesz w tej chwili do porsche. – Mówiąc to, zdawała sobie sprawę, że nie jest to uwaga zbyt delikatna, ale też czuła, że doprawdy nie pora na delikatność. A zresztą wytrącił ją do tego stopnia z równowagi, że miała w nosie to, czy go urazi. Zdarzało się to ostatnio coraz częściej i przerażało ją, ale nie wiedziała, co z tym począć.

– O co ci właściwie chodzi? – spytał oziębłe. Zwykle nawet nie próbowała odpowiadać na takie pytania, bo dawno już się przekonała, że są prawie zawsze retoryczne. Sprowadzały się do prostego podtekstu: *Denerwujesz mnie, Jessie. Nie uczestniczysz w grze.*

Ale wówczas – może było to mimowolne preludium do obecnej sytuacji – postanowiła zignorować podtekst i jednak odpowiedzieć:

– Chodzi o to, Geraldzie, że tej zimy, czy kupisz porsche czy nie, skończysz czterdzieści sześć lat... I masz piętnaście kilo nadwagi.

Okrutne, owszem, ale mogła się przecież zachować brutalniej: opisać obraz, jaki stanął jej przed oczami, gdy spojrzała na fotografię sportowego samochodu na okładce połyskliwej broszury wręczonej przez Geralda. W okamgnieniu ujrzała grubiotkiego chłopczyka z różową buzią i rzednącymi włosami włoczonego w nadmuchiwany basen ogrodowy.

Gerald wyrwał jej broszurę z dłoni i wymaszerował bez słowa z pokoju. Nie poruszali odtąd tematu porsche, ale Jessie często wyczuwała, że mąż ciągle o nim myśli, gdy spogląda na nią tym swoim urażonym, poważnym wzrokiem.

W tej chwili widziała w jego oczach jeszcze większy wyrzut.

– Mówiłaś, że to fajne. To twoje własne słowa: „Fajny pomysł”.

Czy rzeczywiście to powiedziała? Chyba tak. Cóż, był to błąd. Drobnie przejęzyczenie, nic więcej, poślizgnięcie się na skórce od banana. Jasne. Tylko jak wytłumaczyć to mężowi, który wygląda jak Baby Huey, z pyskiem ociekającym śliną, szykujący się do awantury?

Nie miała pojęcia, więc spuściła oczy – i zobaczyła coś, co bardzo jej się nie spodobało. Malutki Geralda – w jego przypadku malutki dosłownie i w przenośni – nie wykazywał żadnych oznak wzdęcia. Do malutkiego najwyraźniej nie dotarło, że dziś nic z tego nie będzie.

– Geraldzie, ja po prostu...

– ...nie mam na to ochoty? No cóż, to zupełnie nowa śpiewka, co? Zwolniłem się dziś z pracy. A jak spędzimy tu noc, jutro rano też będę nieobecny. – Przez chwilę namyślał się z posępną miną, po czym powtórzył: – Sama mówiłaś, że to fajny pomysł.

Jessie, niczym stary pokerowy wyga, zaczęła przeglądać ze znużeniem swój arsenał wymówek: *Tak, ale rozbolala mnie głowa; Tak, ale mam te cholerne nieprzyjemne skurcze przedmiesiączkowe; Tak, ale jestem kobietą, więc wolno mi zmienić zdanie; Tak,*

ale teraz, gdy jesteśmy zupełnie sami w tej głuszy, boję się ciebie, ty brutalu, ty dzika bestio – kłamstw odwołujących się do złudzeń Geralda albo do jego próżności (często jedno mieszało się z drugim), lecz nim zdążyła wybrać kartę, jakąkolwiek kartę, odezwał się nowy głos. Pierwszy raz przemówił tak głośno i Jessie zdała sobie z fascynacją sprawę, że w świecie realnym jest on taki sam jak w jej głowie: mocny, suchy, energiczny, opanowany.

Wydawał się również dziwnie znajomy.

– Racja, chyba rzeczywiście to powiedziałam, ale przyszło mi do głowy, że fajnie będzie wyrwać się tu z tobą tak jak kiedyś, nim zrobiłeś się sztywny jak reszta twoich ważnych kolegów. Moglibyśmy trochę się pokochać, a potem posiedzieć razem na werandzie i posłuchać ciszy. Albo pograć trochę w scrabble po zachodzie słońca. Czy to źle, że zmieniłam zdanie, Geraldzie? Jak myślisz? Powiedz, bo naprawdę mnie to interesuje.

– Ale przecież sama mówiłaś...

W ciągu ostatnich pięciu minut usiłowała dać mu na różne sposoby do zrozumienia, że chce się uwolnić od tych przeklętych kajdanek, a on wciąż jeszcze ich nie zdjął. Jej zniecierpliwienie ustąpiło miejsca furii.

– Mój Boże, przestało mnie to bawić prawie natychmiast po tym, jak się zaczęło, i wyczułyś to, gdybyś nie był taki cholernie tępy!

– Twój języczek... Twój cięty, sarkastyczny języczek... Czasami mam go już po dziurki w nosie...

– Geraldzie, jeśli się przy czymś uprzesz, to nie znaczy, że musisz to natychmiast dostać. Czy to moja wina?

– Nie lubię, jak tak mówisz, Jessie. Kiedy mówisz takie rzeczy, przestaję cię zupełnie lubić.

Sytuacja stawała się coraz bardziej koszmarna, ale Jessie najbardziej przerażało, że dzieje się to tak szybko. Nagle poczuła się bardzo zmęczona i przypomniał jej się fragment piosenki Paula Simona: „Nie chcę tej zwariowanej miłości”. Brawo, Paul. Może jesteś niski, ale nie głupi.

– Wiem, że mnie nie lubisz. I dobrze, że nie lubisz, tylko że w tej chwili mówimy o kajdankach, a nie o tym, jak bardzo mnie lubisz albo nie lubisz, gdy zmieniam zdanie. Masz mi je natychmiast zdjąć, słyszysz?!

Nie słyszał, zdała sobie sprawę z narastającym lękiem. Naprawdę nie słyszał. Zupełnie za nią nie nadążał.

– Jesteś po prostu taka piekielnie niekonsekwentna, taka piekielnie sarkastyczna! Kocham cię, Jess, ale nie znoszę tych twoich przeklętych fochów. Zawsze ich nienawidziłem.

Otarł z nadąsaną miną pąsowe wargi i popatrzył na nią ze smutkiem – biedny, oszukany Gerald, mający na karku kobietę, co wyciągnęła go do pierwotnego lasu, a później uchyliła się od wypełnienia swoich powinności seksualnych. Biedny, oszukany Gerald, który wyraźnie nie miał najmniejszego zamiaru iść do komody przy drzwiach łazienki po kluczyki od kajdanek.

Niepokój Jessie przemienił się w coś nowego – w pewnym sensie niezależnie od jej woli. Stał się mieszaniną wściekłości i strachu, jaką odczuła tylko raz w życiu. Gdy miała mniej więcej dwanaście lat, jej brat Will połaskotał ją podczas przyjęcia urodzinowego. Widziały to wszystkie jej przyjaciółki i wszystkie się roześmiały. *Cha, cha, cha, jakie to zabawne, nie mogę!* Jessie jednak nie było do śmiechu.

Will śmiał się najgłośniej, wprost pękał ze śmiechu – zgięty w pół, z dłońmi opartymi na kolanach i włosami opadającymi na twarz. Działo się to jakiś rok po pojawieniu się Beatlesów, toteż nosił oczywiście długie włosy. Najwyraźniej zasłoniły mu Jessie i nie miał pojęcia, jaka jest wściekła – a zwykle bardzo dobrze wyczuwał nawet najdrobniejsze zmiany jej nastroju i humoru. Śmiał się do rozpuku, aż w Jessie wezbrała taka spieniona złość, iż musiała coś zrobić, bo czuła, że inaczej po prostu pęknie. Zacisnęła małą piąstkę i uderzyła swojego ukochanego braciszka prosto w usta, gdy uniósł w końcu głowę, by na nią popatrzeć. Po ciosie przewrócił się do tyłu jak kręgiel i krzyknął przeraźliwie.

Później Jessie usiłowała sobie wmówić, że Will krzyknął bardziej ze zdumienia niż z bólu, ale dobrze wiedziała, nawet w wieku dwunastu lat, że to nieprawda. Zrobiła mu krzywdę, wielką krzywdę. Rozciąła mu obie wargi, dolną w jednym miejscu, a górną w dwóch, i zrobiła mu wielką krzywdę. Dlaczego? Bo postąpił głupio? Ale miał wtedy tylko dziewięć lat – były to jego dziewiąte urodziny – a w tym wieku wszyscy chłopcy są głupi. Nie, nie chodziło o jego głupotę. Bała się po prostu; bała się, że jeśli nie zrobi czegoś z tą ohydną zieloną pianą wściekłości i wstydu, to wówczas – *tak*,

zgasi ona Słońce – zwyczajnie eksploduje. Prawda, z którą zetknęła się tego dnia po raz pierwszy, przedstawiała się następująco: w Jessie znajdowała się studnia, woda w studni była zatruta i łaskocząc siostrę, William spuścił do studni wiadro, a następnie wyciągnął je pełne szlamu i wijących się robaków. Nienawidziła go za to i chyba właśnie dlatego go uderzyła. Przeraziła się tego, co wydobył z głębin. Teraz, po tylu latach, odkrywała, że ciągle ją to przeraża – lecz także ciągle doprowadza do furii.

Nie zgasisz Słońca! – pomyślała, nie mając zielonego pojęcia, co to ma znaczyć. – *Prędkiej zdechnę, niż ci pozwolę!*

– Nie zamierzam z tobą dyskutować, Geraldzie. Przyniesz po prostu kluczyki od tych zasranych kajdanek i uwolnij mnie!

I wówczas powiedział coś, co tak ją zdumiało, że z początku w ogóle nie zrozumiała, o co chodzi:

– A jak tego nie zrobię?

Najpierw zauważyła, że mówi zmienionym głosem. Zwykle przemawiał szorstko, opryskliwie i władczo, jakby chciał powiedzieć: „Ja tu rządę, i mamy wszyscy piekielne szczęście, że tak jest, co?”, tym razem odezwał się głucho, mruczącym tonem, jakiego jeszcze nie słyszała. W jego oczach znów zapalił się błysk – ten ukradkowy gorący błysk, który niegdyś doprowadzał ją do takiego podniecenia, jakby miał siłę stu jupiterów. Nie widziała dobrze oczu Geralda – były tylko szparkami w fałdach powiek i zasłaniały je okulary w złotej oprawce – ale błysk pojawił się znowu. O tak, znowu.

I jeszcze to dziwne zachowanie Pana Malutkiego. Pan Malutki wcale się nie zmniejszył. W istocie rzeczy wydawał się większy niż kiedykolwiek, choć prawdopodobnie należało to przypisać wyobraźni Jessie.

Tak sądzisz, dziewczyno? Ja nie.

Przetrawiała owe spostrzeżenia, aż wreszcie wróciła do ostatniego zdumiewającego pytania Geralda: „A jak tego nie zrobię?”. Tym razem oprócz tonu głosu dotarło do niej znaczenie słów, a gdy wreszcie w pełni je zrozumiała, poczuła, że wściekłość i strach jeszcze się wzmogły. Gdzieś w głębi wiadro znów zjeżdżało w dół, po kolejną porcję szlamu – po błotnistą wodę zanieczyszczoną mikroorganizmami równie zabójczymi jak jadowite żmije.

Kuchenne drzwi uderzyły we framugę, a w lesie znów odezwał

się pies; jakby jeszcze się przybliżył. Jego szczekanie miało w sobie coś rozdzierającego, rozpaczliwego. Gdyby Jessie słuchała go zbyt długo, na pewno dostałaby migreny.

– Posłuchaj mnie, Geraldzie – usłyszała swój nowy, mocny głos i jednocześnie zdała sobie sprawę, że mógł on wybrać lepszy moment, by przerwać milczenie (była przecież sam na sam z mężem na odludnym północnym brzegu jeziora Kashwakamak, przykuta kajdankami do łóżka i odziana tylko w skąpe nylonowe majteczki), lecz mimo to prawie wbrew własnej woli przyłapała się na tym, że go podziwia. – Słuchasz mnie jeszcze? Wiem, że w ostatnich czasach rzadko zwracasz uwagę na to, co mam do powiedzenia, ale tym razem naprawdę musisz mnie wysłuchać. No więc... słuchasz mnie w końcu?!

Kłęczał na łóżku, spoglądając na nią w taki sposób, jakby była nieznanym dotąd gatunkiem owada. Jego policzki, pokryte siecią drobnych czerwonych żyłek (nazywała je piętmem alkoholowym), były prawie fioletowe. Na czole miał podobną ciemną plamę o tak wyraźnym zarysie, że wyglądała jak znamię.

– Tak – odpowiedział swoim dziwnym, mrużącym głosem, a brzmiało to jak przeciągłe „Ta-a-a-k”. – Słucham cię, Jessie. O tak, słucham z najwyższą uwagą.

– Dobrze. Wobec tego idź do komody i przynieś kluczyki. Najpierw uwolnij mi prawą rękę, a później lewą. – Zagrzechotała łańcuszkami. – Jeśli natychmiast to zrobisz, odbędziemy mały, normalny, bezbolesny stosunek płciowy, po czym wrócimy do naszego normalnego, bezbolesnego życia w Portlandzie.

Bezsensownego życia – pomyślała. – *Opuściłaś jeden przymiotnik. Normalnego, bezbolesnego, bezsensownego życia w Portlandzie.* Może była to prawda, a może Jessie po prostu przesadzała (okazało się, że przykucie kajdankami do łóżka czyni człowieka skłonny do teatralnych zachowań), lecz zapewne dobrze, że pominęła to słowo – ot, tak, na wszelki wypadek. Ten nowy, rzeczowy głos był jednak w miarę dyskretny. I zaraz, jakby chciała sama sobie zaprzeczyć, usłyszała pulsującą w nim wściekłość.

– Ale jak będziesz dalej mnie denerwował, pojedę stąd prosto do swojej siostry, dowiem się nazwiska adwokatki, która reprezentowała ją podczas rozwodu, i zadzwonię do niej! Nie żartuję! Nie chcę dłużej uczestniczyć w tej farsie!

I nagle zdarzyło się coś niewiarygodnego, zupełnie nieoczekiwanego: Gerald znów zaczął szczerzyć zęby! Jego uśmiech, wypelzający powoli na twarz, kojarzył się trochę z łodzią podwodną, która po długiej, niebezpiecznej podróży wpłynęła wreszcie na znajome wody i wynurza się na powierzchnię. Jednakże nie to było najbardziej niewiarygodne. Najbardziej niewiarygodne było to, że tym razem nie wyglądał już jak nieszkodliwy półgłówek. Przypominał raczej groźnego maniaka seksualnego.

Znów wyciągnął rękę, pogłaskał Jessie po lewej piersi, a później ścisnął ją boleśnie. Zakończył te karesy uszczypnięciem w brodawkę, czego nigdy dotąd nie robił.

– Przestań! To boli!

Skinął głową z namaszczeniem i uznaniem, które dziwnie kontrastowały z jego przerażającym uśmiechem.

– To cudowne, Jessie. Ta twoja gra. Mogłabyś być aktorką. Albo zawodową prostytutką. I to wysokiej klasy! – Zawahał się, po czym dodał: – Uważam to oczywiście za komplement.

– O czym ty, do licha, gadasz? – Dobrze wiedziała. W tej chwili bała się już naprawdę. W sypialni pojawiło się zło; wirowało wokół niczym czarny dziecinny bąk.

Ale była też w dalszym ciągu wściekła – równie wściekła jak w dniu, gdy Will ją połaskotał.

Gerald się roześmiał.

– O czym mówię?! Przez chwilę dałem się na to wszystko nabrać. Właśnie o tym mówię. – Położył dłoń na jej prawym udzie. Kiedy znów się odezwał, przemawiał energicznym i zdumiewająco rzeczowym tonem. – A teraz: czy sama rozsuniesz dla mnie nogi, czy mam to zrobić na siłę? A może to także część gry?

– Wypuść mnie!

– Tak... jak będzie po wszystkim. – Wysunął gwałtownie do przodu drugą rękę. Tym razem uszczypnął Jessie w prawą pierś, i to tak mocno, że poczuła małe białe igiełki bólu biegnące wzdłuż boku do prawego biodra. – No, rozłóż te swoje śliczne nóżki, krnąbrna pięknotko!

Przyjrzała mu się uważniej i odkryła coś strasznego: wiedział. Zdawał sobie sprawę, że Jessie naprawdę nie ma już na to ochoty. Wiedział, ale postanowił nie wiedzieć. Czy człowiek ma prawo tak postępować?!

No pewnie – odparł rzeczowy głos. – Jak się jest genialnym specem od prawa handlowego w największej kancelarii adwokackiej między Bostonem a Montrealem, wie się to, co się chce wiedzieć, i nie wie się tego, czego się nie chce wiedzieć. Myślę, że popadłaś w poważne tarapaty, kochana. Takie tarapaty, które mogą doprowadzić do rozpadu małżeństwa. Lepiej zaciśnij zęby i zamknij oczy, bo myślę, że czeka cię cholernie przykre przeżycie.

Ten uśmiech. Ten wstrętny, podły uśmiech.

Udaje, że nic nie wie. I to tak dobrze, że później zgodzi się nawet na badanie wykrywaczem kłamstwa. „Myślałem, że to część gry – stwierdzi, obrażony i zdziwiony. – Naprawdę tak myślałem”. A jeśli Jessie zacznie się upierać i gniewać, Gerald skorzysta w końcu z najstarszego argumentu, chowając się za nim niczym jaszczurka w szczelinie w skale: „Było ci przyjemnie. Sama wiesz, że to prawda. Czemu się do tego nie przyznasz?”.

Udaje Greka! Wie, ale i tak chce zrobić swoje. Przykuł ją do łóżka, ona zaś sama mu w tym pomagała, a teraz, o kurwa, nie owijajmy tego w bawełnę, zamierza ją zgwałcić, naprawdę zgwałcić, gdy tymczasem drzwi uderzają o framugę, szczeka pies, warczy piła łańcuchowa i słychać krzyki nura nad jeziorem. Naprawdę chce to zrobić. Tak, chłopcy – heja-heja-ho! – nie mieliście jeszcze pod sobą żadnej cipki, dopóki nie skakała jak kokoszka na gorącym ruszcie! A jeśli Jessie rzeczywiście pojedzie do Maddy po zakończeniu tego upokarzającego epizodu, Gerald wszystkiemu zaprzeczy: stwierdzi, że wcale jej nie zgwałcił.

Położył na udach Jessie swoje różowe dłonie i zaczął rozsuwać jej nogi. Nie opierała się zanadto; na razie była jeszcze zbyt przerażona i zdumiona tym, co się dzieje.

I to jest odpowiednie podejście – odezwał się inny, bardziej znajomy głos. – Po prostu leż spokojnie i pozwól mu się wyprztykać. Cóż to w końcu takiego? Robił to już tysiące razy i jakoś od tego nie umarłaś. Nie zapominaj, że minęło dobrych kilka lat, odkąd przestałaś być wstydliwą panienką.

A co by się stało, gdyby nie posłuchała rady tego głosu? Jaki miała wybór?

Jakby w odpowiedzi, stanął jej przed oczami przerażający obraz. Wyobraziła sobie, że składa zeznania przed trybunałem rozwodowym. Nie wiedziała, czy w stanie Maine istnieją w dalszym

ciągu takie trybunały, jednakże nie wpłynęło to w najmniejszym stopniu na wyrazistość wizji. Ujrzała samą siebie ubraną w elegancki kostium od Donny Karan i jedwabną brzoskwińową bluzkę. Kolana miała skromnie złączone, leżała na nich jej mała biała torebka. Wyobraziła sobie, jak mówi sędziemu, wyglądającemu niczym świętej pamięci Harry Reasoner, że owszem, to prawda, z własnej woli pojechała z Geraldem do domku letniskowego, że owszem, pozwoliła przykuć się do łóżka dwiema parami kajdanek marki Kreig, również z własnej woli, że owszem, uprawiali już takie gry miłosne, choć nigdy w domku nad jeziorem.

Tak, Wysoki Sądzie. Tak.

Tak, tak, tak.

Gerald w dalszym ciągu rozsuwał jej nogi, a Jessie usłyszała samą siebie zeznającą przed sędzią kojarzącym się z Harrym Reasonerem. Opowiadała, jak zaczęli od jedwabnych apaszek, jak nie miała nic przeciwko temu, jak przeszli przez etapy chustek, sznurów i kajdanek, choć prędko znudziła ją ta gra. Budziła jej niesmak. Taki niesmak, że pewnej niedzieli w październiku przejechała z Geraldem sto trzydzieści pięć kilometrów dzielące Portland od jeziora Kashwakamak; taki wstręt, że znów pozwoliła się przykuć jak pies do łóżka; takie obrzydzenie, że nosiła tylko parę nylonowych majteczek, tak cienkich, że można by przez nie czytać ogłoszenia w „New York Timesie”. Sędzia uwierzy w to wszystko i będzie głęboko współczuł. Oczywiście, że tak. Kto by jej nie współczuł? Wyobraziła sobie, jak siedzi na miejscu dla świadków i mówi: „Tak, byłam przykuta kajdankami do łóżka i nie miałam na sobie nic oprócz skąpej bielizny z seks-shopu, ale zmieniłam w ostatniej chwili zdanie, a Gerald wiedział o tym, więc to gwałt”.

O tak, sędzia na pewno uwierzy. Można się założyć.

Ocknęła się z tego przerażającego snu na jawie, zorientowawszy się, że Gerald ściąga majteczki. Klęczał między jej nogami, z twarzą tak pełną namysłu, jakby właśnie zamierzał przystąpić do egzaminu do izby adwokackiej, a nie posiąść żonę wbrew jej woli. Ze środka mięsistej dolnej wargi ściekała mu na podbródek strużka białej śliny.

Pozwól mu to zrobić, Jessie. Pozwól mu się wyprztykać. Spermą padła mu na mózg, podobnie jak im wszystkim. Kiedy się wyprztyka, znów będziesz mogła się z nim dogadać. Dasz sobie z nim

radę. Więc nie rób chryi – po prostu leż spokojnie i czekaj, aż wyrzuci ją ze swojego organizmu.

Rada była dobra i Jessie chyba by jej posłuchała, gdyby nie poczuła w sobie obecności kogoś nowego. Ten bezimienny gość uważał najwidoczniej, że zwykła doradczyni Jessie – głos, który Jessie nazwała po latach Dobrą Żoną Burlingame – jest kompletną idiotką. Jessie wciąż jeszcze mogła pozwolić, by wszystko potoczyło się swoją koleją, gdy nagle zdarzyły się dwie rzeczy naraz: zdała sobie sprawę, że choć jest przykuta kajdankami do łóżka, ma wolne nogi, i w tej samej chwili spostrzegła, że z brody Geralda spadła kropelka śliny. Dyndała mu przez chwilę na podbródku, wydłużając się, po czym spadła Jessie na brzuch, tuż nad pępkiem. Doznanie to miało w sobie coś znajomego i ogarnęło ją przerażająco silne poczucie *déjà vu*. Wydało jej się, że pokój nagle pociemniał, jakby okna i świetlik zastąpiono okopconymi szybkami.

To jego sperma! – pomyślała, choć doskonale wiedziała, że to nieprawda. – *To jego przekłeta sperma!*

Zareagowała nie tyle na zachowanie Geralda, ile na nienawistne uczucie, jakie eksplodowało w głębi jej umysłu. Nie towarzyszyła temu absolutnie żadna refleksja – ogarnęła ją po prostu instynktowna, paniczna odraza kobiety, która zdała sobie sprawę, że w jej włosy zaplątał się nietoperz.

Podkurczyła nogi, aż jej unoszące się kolano przeleciało tuż koło wysuniętego podbródka Geralda, po czym rozprostowała je niczym tłoki maszyny. Podeszwa i palce prawej stopy trafiły w jego podbrzusze, pięta lewej zaś w sztywno sterczący penis i jądra wiszące pod nim niczym biały, dojrzały owoc.

Gerald odchylił się do tyłu, a jego pośladki opadły na tłuste, bezwłose łydki. Uniósł głowę w stronę świetlika i białego sufitu, na którym podrygiwały odbłyски słońca, i wydał z siebie piskliwy, charczący okrzyk. W tejże chwili na jeziorze znów odezwał się nur, co stworzyło diaboliczny kontrast; Jessie miała wrażenie, że to jeden samiec lituje się nad drugim.

Oczy Geralda nie były już zwężone ani lśniące, lecz szeroko otwarte, błękitne jak przejrzyste niebo (pragnienie ujrzenia tego nieba nad pustym, jesiennym jeziorem skłoniło Jessie do przyjęcia propozycji Geralda, gdy zadzwonił z kancelarii i powiedział, że rozprawę odroczone, tak że mogliby spędzić popołudnie w domku

letniskowym, a może nawet przenocować) i malował się w nich wyraz takiej męki, że Jessie prawie nie mogła na to patrzeć. Na szyi sterczały po bokach straszliwie napięte ścięgna. *Ostatni raz widziałam coś takiego owego deszczowego lata, gdy przestał uprawiać ogród i przerzucił się na szkocką* – pomyślała Jessie.

Jego krzyk cichł. Wyglądało to trochę tak, jakby ktoś dysponujący specjalnym pilotem do zdalnego sterowania Geraldem zmniejszył powoli natężenie dźwięku. Oczywiście nie istniał żaden pilot: Gerald krzychał niezwykle długo, może nawet pół minuty, i po prostu tracił oddech. *Musiąło go strasznie zboleć* – pomyślała Jessie. Czerwone plamy na policzkach i czole Geralda stawały się powoli fioletowe.

Zrobiłaś to! – zawołała wstrząśnięta Dobra Żona Burlingame. – *Naprawdę, naprawdę to zrobiłaś!...*

Cholernie celny strzał, nie? – rzekł z namysłem nowy głos.

Kopnęłaś własnego męża w jaja! – wrzasnęła Dobra Żona. – *Czy miałaś do tego prawo, na Boga?! Czy wolno ci nawet żartować na ten temat?!*

Jessie знаła odpowiedź na to pytanie, a przynajmniej tak jej się zdawało: kopnęła męża, bo zamierzał ją zgwałcić i twierdzić później, że nic się nie stało, że uprawiali nieszkodliwą grę miłosną i doszło do drobnego nieporozumienia. „Winna jest gra – powiedziałby, wrzeszcząc ramionami. – Gra, nie ja. Jeśli chcesz, możemy przestać w nią grać”. Wiedziałyby oczywiście, że Jessie za żadną cenę nie zgodziłaby się więcej na przykucie do łóżka. Nie, tym razem postanowił wreszcie jej pokazać, kto tu jest panem. Zdawał sobie sprawę z sytuacji i zamierzał ją wykorzystać do ostatecznych granic.

Czarny bąk, którego Jessie wyczuła w pokoju, wymknął się spod kontroli, jak się tego obawiała. Gerald wciąż wyglądał, jakby krzychał, choć z jego wykrzywionych, rozciągniętych warg nie wydobywał się żaden dźwięk (przynajmniej taki, jaki Jessie mogłaby usłyszeć). Jego twarz tak nabrzmiała od krwi, że gdzieś tam stała się prawie czarna, a pod starannie wygoloną skórą na szyi pulsowała wściekle żyła – a może tętnica? Wyglądała, jakby miała za chwilę pęknąć, i Jessie poczuła ukłucie straszliwej trwogi.

– Geraldzie? – spytała cichym, nieśmiałym głosem dziewczynki, która stłukła cenny wazon na przyjęciu urodzinowym przyjaciółki. – Nic ci nie jest?

Pytanie głupie, niewiarygodnie głupie, lecz znacznie łatwiejsze niż to, które rzeczywiście chciałaby zadać: „Bardzo cię boli, Geraldzie? Myślisz, że możesz umrzeć?”

Oczywiście, że nie umrze – odezwała się nerwowo Dobra Żona Burlingame. – *Sprawiałaś mu straszny ból i powinno być ci przykro, ale nie umrze. Nikt nie umrze.*

Wykrzywione wargi Geralda w dalszym ciągu drżały bezgłośnie, lecz nie odpowiedział na pytanie Jessie. Prawą rękę położył na brzuchu, lewą zaś podtrzymał zmiażdżone jądra. Nagle obie dłonie uniosły się i spoczęły tuż nad brodawką jego lewej piersi. Spoczęły niczym para tłustych różowych ptaków, zbyt zmęczonych, by kontynuować lot. Jessie widziała zarys nagiej stopy – swojej własnej nagiej stopy – ukazujący się na krągłym brzuchu męża. Czerwona plama na różowym ciele miała w sobie coś oskarżycielskiego.

Wydychał powietrze, albo próbował to zrobić, roztaczając wokół siebie kwaśny odór zgniłej cebuli. *Ostatnie tchnienie* – pomyślała Jessie. – *Dolne dziesięć procent płuc to domena ostatniego tchnienia, czy nie tak nas uczyli w szkole na biologii? Tak, chyba tak. Wydawszy je, człowiek albo mdleje, albo...*

– Geraldzie! – zawołała ostrym, karcącym tonem. – Oddychaj, Geraldzie!

Oczy wyszły mu z orbit niczym błękitne szklane kulki i zdołał wciągnąć niewielki haust powietrza. Wykorzystał je, by wypowiedzieć ostatnie słowo – tylko jedno, choć przecież wydawał się niekiedy wręcz stworzony ze słów.

– ...serce...

To wszystko.

– Geraldzie! – Tym razem Jessie mówiła zaszokowanym tonem zrzędlivej nauczycielki, starej panny, która przyłapała jednego z młodszych uczniów na podkasywaniu jej spódnicy, by pokazać kolegom majtki w zajączki. – Geraldzie, przestań się wygłupiać i oddychaj, do cholery!

Nie odetchnął. Zamiast tego oczy stanęły mu w ślup, aż ukazały się żółtawe białka. Wystawił język i zacharczał. Z jego zwiotczalonego penisa trysnął strumień parującego ciemnego moczu, opryskując uda Jessie nieznośnie gorącymi kropelkami. Jessie wydała z siebie przeciągły, przesywający okrzyk. Tym razem nie zdawała

sobie sprawy, że szarpie za kajdanki, podkulając niezgrabnie nogi i usiłując się odsunąć jak najdalej od męża.

– Przestań! Przestań, bo spadniesz z...

Za późno. Było za późno, nawet jeśli ją słyszał, w co zresztą powątpiewała. Przechylił się do tyłu poza skraj łóżka i zadziałyła prawa grawitacji. Gerald Burlingame, z którym Jessie jadła ongiś ciastka w łóżku, runął na plecy z podkurczonymi kolanami i głową opuszczoną na piersi, niczym dziesięcioletni niezgrabiasz próbujący zaimponować kolegom na basenie. Jego czaszka uderzyła z trzaskiem w twardą drewnianą podłogę i Jessie znowu krzyknęła. Kojarzyło się to trochę z olbrzymim jajkiem rozbijanym o krawędź kamiennego naczynia. Oddałaby wszystko, by tego nie słyszeć.

Później zapadła cisza, przerywana tylko odległym warkotem piły łańcuchowej. Przed wybałuszonymi oczyma Jessie otwierała się wielka bezbarwna róża. Płatki rozkładały się powoli, a gdy otoczyły ją niczym pokryte pyłem skrzydła ogromnej szarej ćmy, zasłaniając na pewien czas świat, jednym wyraźnym uczuciem była ulga.